

WIECZORY RODZINNE.

NOWY ROK.

Za siedem rzek, za dziesięć gór
Stary się rok już chowa
Z za jutra mgieł, z przyszłości chmur
Jutrzenka błyska nowa.
Za siedem gór, za dziesięć mórz
Minione ciągną czasy,
Za niemi w trop nadbiega już
Rok nowy pełen krasy.
W dziesięciu rzek, w siedmiu mórz toń
Wpada rok stary — zato
Promienną twarz ty ku nam skłoń
Nowo zrodzone lato!
Za siedem gór, za dziesięć rzek
Smutki odegnaj, żale,
Tyś nowy rok, obietnic wiek,
W młodzieńczej wschodzisz chwale.
Siedmiu rzek głęb, siedmiu gór szczyt
Wszak wczoraj z jutrem dzieli?
W nowy dziś rok, w nowych dni świt
Niech serca drgną weselej...

T. P.

POŻĄDANA OPIEKA.

Ach Luciu! Luciu! co ja widzę, coś okropnego... chodź-no prędzej! — wołała rozpaczliwie Jadzia do swej starszej siostrzyczki, pochylając się nad rowem okalającym ogród, nad którym obie zajęte były zbieraniem wodnych niezapominajek. — Cóż to za okrucieństwo, doprawdy!...

Przełęczona temi słowy Lucia rzuciła na trawę rozpoczęty wianuszek i w jednej chwili była już obok siostry, a spojrzawszy na wodę w kierunku wyciągniętego jej paluszka zaczerwieniła się ze zgrozy. Na środku rowu, splecione w wodne zarośla walczyło ze śmiercią dwoje szczeniutek; a siły opuszczały już je widocznie bo coraz częściej chowały się pod wodę, i coraz dłużej nie pokazywały się na powietrzu...

— Kija jakiego, Jadziu! Prędko! prędko! — zawołała przytomna dziewczynka widząc, że przestrzeń była za daleką, aby dostać ręką nieszczęśliwe ofiary. Na szczęście znalazła się w pobliżu sucha gałąź wierzbiny; zarzuciła więc ją na wodę, poczem wychyliwszy się jak można było najdalej. chwyciła przybliżone tym sposobem stworzonka i słabe już dające oznaki życia złożyła ostrożnie na trawie. Jadzia z niemem podziwieniem spoglądała na szybkie i zręczne działanie siostry i dopiero ujrawszy bezpiecznie spoczywające na miękkiej łące szczeniutek wybuchła radością.

— Ach! jak to dobrze że udało ci się wyratować



...W nagrodę drugą porcję dzieliła między starych przyjaciół...

je Luciu! Takie śliczne! Jeszcze tylko mała chwilka a byłyby potonęły. Ale co to za niegodziwiec wrzucił je tutaj, moja droga! Trzeba doprawdy nie mieć serca żeby narażać na taką mękę biedne stworzenia, nieprawdaż Luciu?...

Lecz Lucia nie odpowiedziała nic na to, pochylona bowiem dmuchała teraz z całą uwagą swoim pacjentom w różowe noski, pragnąc im powrócić życie.

— No, nic im nie będzie! — ozwała się wreszcie skoro ogrzane i obsuszone słońcem zaczęły się poruszać swobodnie. — Zobaczysz że będą już zdrowe — ale teraz... co z nimi zrobimy?...

— Naturalnie nic innego tylko zabieramy z sobą do domu!... Czy uratowawszy od utonięcia chcesz je zostawić na pastwę głodowej śmierci? — zawołała żywo Jadzia.

— Ale cóż znowu! Chodzi mi tylko o to czy mama nie będzie miała nic przeciwko temu że będziemy tyle psów chować — odparła Lucia, zabierając w fartuszek szczeniutek.

— Prawda! i stara Lotka nie będzie pewno rada z nich — odparła poważnie Jadzia. — Ale

wiesz co? — zawołała nagle wesoło. — Poprosimy żeby mamusia pozwoliła nam oddawać część naszego śniadania, a jak urosną, będziemy je żywiły z własnych oszczędności. — Dopóki są małe, mogą przecież wybor- nie spać w kredensie lub oficynie, a gniewałabym się na Lotkę, gdyby później nie chciała zabrać je do owej budy...

— No tak—może się na to co zaradzi—choźmy!...

Dziewczynki ruszyły do domu i tak ładnie prosiły mateczki, że ta rozczulona ich dobrymi serduszkami gotowemi z ujmą dla własnej buzi i kieszeni wychowywać biedne na zagładę przeznaczone stworzonka, pozwoliła na włączenie ich w liczbę domowego „inwentarza panienek“, jak nazywano szumnie Lotkę i kotka Mruczusia.

A jakaż to było radość! Pieski nazwane Żabcią i Wężykiem na pamiątkę znalezienia ich w rowie, przy- wiązały się do swych właścicielek, i wkrótce pochłone- ły wszystkie ich wolne od zajęć chwile. Odtąd dzie- wczynki wstawały nawet o parę godzin wcześniej aby resztkami swego śniadania nakarmić wychowalców i na- bawić się z niemi do woli przed rozpoczęciem rannych lekcyj. Miały tylko z początku kłopot bo Żabcia i Wężyk byli tak do siebie podobni z jasnej maści i ciemnych, w jednych miejscach rzuconych łatek bron- zowych, że trudno ich było rozróżnić. Dopiero Lucia wpadła na szczęśliwy pomysł ozdobienia Żabki czerw- ną wstążeczką, w czem jej było prześlicznie. Lotka i Mruczuś okazali się nadspodziewanie łaskawymi dla małych przybyszów; podczas śniadania patrzyli zdala bez cienia nawet urazy, jak sprzątały pełen talerzyk mle- ka, a dobra Lucia była zwykle tak rozczuloną tym do- wodem braku zazdrości, że w nagrodę drugą porcyę dzieliła między starych przyjaciół. Tym sposobem ca- ła czwóreczka żyła ze sobą w zgodzie przykładowej, ku radości swych młodych właścicielek, a mama Jadzi i Lu- ci widząc to szczere zajęcie się swych córeczek losem wyratowanych szceniątek, które w niczem nie przeska- dzało do zwykłych ich zajęć i lekcyj, myślała, że gdyby wszystkie dziewczynki cieszyły się równem pojmo- waniem podjętych obowiązków, byłoby na świecie bardzo, bardzo dobrze...

V. Cairo.

POLOWANIE NA NIEDŹWIEDZIA.

W krajach bardzo zimnych, gdzie nawet żadna większa roślina wyżyć nie jest w stanie, gdzie morze za- wsze jest lodem pokryte, mieszka okrutny drapieżnik, niedźwiedź polarny.

Ma on na sobie białe, bardzo ciepłe futro i dużo tłuszczu pod skórą, dla tego też nie mrozu, ani wody zim- nej nie boi się wcale.

W zimie śnieg mu służy za posłanie, śniegiem się przykryje, a śpi cały zasypany tak dobrze, jakby w naj- lepszym łóżku.

Nieprzyjaciół groźnych biały niedźwiedź nie ma, bo któżby nie znał jego pazurów, zębów i nazwyczajnej siły.

Czy jelenia napotka, czy lisa dostrzeże, rzuca się

z największą drapieżnością i pożera słabsze od siebie stworzenia.

Woda nie jest dla niego żadną przeszkodą; pływa doskonale, łapie ryby, duże i małe, a nawet foki pory- wa. Wiadomo, że foki mają swoje kryjówki w morzu. A niedźwiedź jest tak zmyślny, że je prędko odnajdzie; przycza- ja się w pobliżu nory i czyha; skoro która wybieg- nie natychmiast zostanie schwyta- na przez drapieżnika. Niedźwiedź ją wyciągnie na brzeg morza, zabija i na- tychmiast pożera.

Co gorsza, niedźwiedź biały jest niepospolicie żar- łoczny; zdawałoby się, że jadłby dzień cały a gdy mu zabraknie żywych stworzeń, to pochłania padlinę.

Połowanie na niedźwiedzia jest bardzo niebezpiecz- ne. Dużo nieszczęśliwych wypadków zdarzało się w cza- sie tych łowów.

Pewien myśliwy celując do niedźwiedzia, chybił. Zwierz obejrzał się i ruszył z całą wściekłością na na- pastnika.

Zaczęła się gonitwa. Nieszczęśliwy człowiek rzucił broń na ziemię. Niedźwiedź zatrzymał się, obejrzał strzel- bę i zdruzgotał ją w jednej chwili. Sam zaś puścił się dalej w pogoń za człowiekiem. Myśliwy z rozpacz- y rzuca kolejno czapkę, torbę i ubranie swoje. Niedźwiedź zatrzymuje się na chwilę, rozszarpuje rzucone rzeczy.

Biedak woła o ratunek, ale daremnie, niedźwiedź biegnie prędzej od człowieka, chwyta go niebawem i pożera.

Zdawałoby się, że podobne wypadki odstraszą wszystkich myśliwych od polowania na tych drapieżni- ków. Inaczej się jednak dzieje.

Nęci ich tłuszcz i ciepłe futro.

Łowy na często się powtarzają, ale bardzo rzadko bywają pomyślne.

M. Weryho.

ODWAGA I ZUCHWAŁSTWO.

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO M. P.

Nigdy, póki żyć będę, nie zapomnę tego wieczoru, a dziś gdy oczy zamknę, widzę najwyraźniej cały pokój i słyszę każde wypowiedziane słowo. Nie wiem dlaczego ta chwila tak mi się w pamięć wraziła, bo nieraz siady- waliśmy z mamą przy ogniu i słuchaliśmy jej opowia- dania, ale zdaje mi się, że najlepiej pamiętaliśmy począ- tek i koniec ważniejszej epoki w naszym życiu. Byliś- my zgromadzeni w salonie, światła jeszcze nie zapalono, a ojciec, który zaprosił kilku panów na obiad, znajdo- wał się z nimi jeszcze w jadalnym pokoju. Zbliżał się już koniec maja, ale wieczory były dosyć chłodne; ma- ma kazała rozpa- lić ogień i usiadła na niskim, wygod- nym fotelu przed kominkiem, trzymając małą naszą sio- strzyczkę Lucię na kolanach, podczas gdy my, chłopcy, usadowiliśmy się u jej nóg na dywanie.

Było nas tylko troje dzieci: ja, Julek i Lucia. Ja miałem już dziesięć lat, Julek kończył dziewiąty, a Lu- cia dopiero piąty rok zaczęła. Między Julkiem a mną

była mała różnica wieku, ale ja wyglądałam na wiele starszego, bo Julek w dzieciństwie bardzo chorował, od tego czasu zawsze był blady, szczupły i wątły. Ale chociaż mi nie zbywało ani na siłach ani na wzroście, musiałem wszystkich starań dokładać, aby mu się nie dać wyprzedzić w naukach, bo obaj razem chodziliśmy do szkoły w Londynie. Stara nasza piastunka zwykła była mawiać: „Tomkowi Pan Bóg dał zdrowie, a Julkowi zdolność”. Zdrowie i siły nieraz mi się przydały, zwłaszcza w czasie zabaw z kolegami, ale jak przychodziła nauka, to chętnie oddałbym ich połowę za zdolności Julka, chociaż wiem, żebym tej zamiany podczas rekreacji znowu żałował, bo Julkowi wszyscy koledzy dokuczali. Był on słaby i łatwo się przeraża, czasem nawet płakał, a wtedy chłopcy nazywali go beksą, pieszczochem mamy, co brzmi zupełnie inaczej w ustach chłopców, którzy to mówią aby tylko drażnić, a inaczej w ustach mamy, kiedy nam wieczorem poprawia poduszki, albo nakrywa kołderką gdy jesteśmy chorzy.

Pamiętam ten wieczór jakgdyby to było wczoraj. Choć ogień niedawno rozłożono, już kilka kawałków nawpół przepalonego drzewa spadło z ogniska, a ja zacząłem się nimi bawić zataczając w powietrzu wielkie, czerwone, dymiące się koła.

— Ostrożnie Tomku, jeszcze co zapalisz — powiedziała mama, ale ja nie zważałem na jej napomnienia zwłaszcza gdy spostrzegłem, że Julek się boi. Ażeby go bardziej przestraszyć, zbliżałem palące się głównie do jego rąk i twarzy, tak, że się wreszcie cały owinął w suknię mamy.

— Tomku, zaprzestań; czy słyszysz co ci mówię? — powiedziała w końcu mama zniecierpliwiona moją swawolą.

— Ale bo on taki tchórz, wszystkiego się boi, a mama przecież tchórzów nie lubi. On się boi i ciemnego pokoju, i wiatru co w kominach świszczy i psów; boi się, żeby go na ulicy powóz nie przejechał, boi się wszystkiego. Prawda, że z niego jeszcze zupełny dzieciak?

— Biedak — powiedziała mama głaszcząc go po głowie, którą jeszcze ukrywał w fałdach jej sukni. — Wyrośnie na odważnego, dzielnego chłopaka, niech tylko sił nabierze. Nieprawdaż Julku?

— Ale mama nie lubi tchórzów, a on się wszystkiego lęka.

— Najodważniejsi ludzie także się boją niektórych rzeczy.

— Tak, ale czego?

— Boją się grzechu.

(d. c. n.)

DOM BOŻY.

Po wyjeździe krawców, którzy pod koniec wakacji szli przez cały tydzień w domu państwa Sielskich, jesienne odzienie dla dzieci, mama przywoławszy 12 letnią córeczkę Józję, rzekła do niej: Idź zobacz, moje dziecko, czy pokój po krawcach już wyporządzony, i dopilnuj ażeby każdy sprzęt znalazł się na swoim miejscu.

Józia zrobiła kwaśną minę za plecami mamy, bo

w tej chwili czytała zajmującą powiastkę, od której odrywać się nie chciała; lecz nie mając brzydkiego zwyczaju sprzeciwiania się mamie, tembardziej gdy chodziło o gospodarskie zajęcia, obowiązkowe dla dziewczynek w każdym domu, udała się natychmiast na wskazane miejsce, zabrawszy książkę z sobą.

Uprowadziła ją tam młodsza siostrzyczka, Anielcia, którą p. Sielska nazywała swą „prawą ręką“, bo chociaż liczyła ona dopiero lat 9, nie dała się wszakże nikomu ubiedz w posługach i czynnościach gospodarskich przy boku mamy.

W tej chwili stojąc przy oknie, przepatrywała Anielcia różnobarwne gałganki, których stos cały trzymała w ręku. Pozbierawszy w pokoju krawców, gdzie było ich pełno, oddzielnie je kładła, dając im widocznie oddzielne przeznaczenie.

— Ty tu? jak to dobrze! — zawołała Józia, spostrzegając Anielcię — zaraz tu przyjdzie Marynka z miotłą, więc zrób, proszę cię, porządek, a gdy wszystko będzie na swoim miejscu, przyjdź mi oznajmić. Ja będę w ogrodzie na ławeczce pod kasztanem. Mama mnie kazała dopilnować Marynki, ale to wszystko jedno, skoro ty tu jesteś.

— Dobrze, dobrze — odrzekła Anielcia zajęta swym zbierem — ja tu zostanę do końca.

— O! co tu tego wszystkiego — mówiła dalej do siebie po odejściu Józji — lecz co ja z tego zrobię, ciekawam. No, już wiem: te kraciaste flanelki powycinam w równe kliniki, kliniki te pozszywam i wyjdzie z tego kapa dla lalki, zupełnie taka jak u naszej klucznicy; frendzlę do niej dorobię z tych wełnianych zrzyneków, bo to się strzepi doskonale. Lecz cóż zrobię z tego amaranutowego kwadracika ternowego? O! tego chyba szkoda dla lalki. Poco ma się tak paradnie stroić to czerepiane stworzenie? Lalka dla zabawy jeno i dla nauki szycia, nie dla parady. Ślicznie, wiem co zrobię: podstawkę do lichtarzyka w sypialni mamy. Wykroję to w cztery okrągłe zęby, podkleję kartonem, otóż masz! ale z czego dam obszycie? Z czego? poczekajcie! z karpiej łuski, którą mama zasuszyć mi kazała, mówiąc, że to się na coś przyda, łuskę każdą, przymocuję błyszczącym paciorkiem i wyjdzie z tego coś cudownego!

Z tym zamiarem, skoro Marynka urządziła się z pokojem, pobiegnęła Anielcia do ogrodu, a oznajmiwszy Józji, iż robota skończona, usiadła przy niej na ławce i zaczęła raz jeszcze przeglądać swój towar. Gdy jednak podniosła w górę amarantowy kwadracik ze słowami: „Jak to będzie ślicznie!“ Józia rzuciwszy nagle okiem, w książce dotąd utkwionem, powstała z siedzenia, i przystąpiwszy do Józji, rzekła stanowczym głosem:

— O! tego tobie nie dam, bo to mnie się przyda...

— I ja tobie tego nie dam, bo to moje — odparła Anielcia z równą stanowczością.

— Nie dasz! zobaczymy.

— Puść mnie, to moje, puść zaraz, ja to sobie znalazłam, nie dam ci tego, nie dam — broniła się Anielcia, usiłując wyrwać rękę z silniejszej dłoni Józji.

Sprzeczkę dwóch sióstr posłyszał brat starszy, student, który w przeddzień wyjazdu z domu, używając świeżego powietrza w ogrodzie, oglądał razem sadzone

przez siebie szczepy w pobliżu. Lecz nie życząc samemu rozstrzygać tej drażliwej sprawy, chwycił się on pewnego doraźnego środka dla oswobodzenia Anielci, zagrożonej natarczywością Józ. Przyskoczywszy więc znie-nacka, wziął Józę pod ręce i puścił się z nią pędem do domu, ażeby winowajczynię postawić przed sądem mamy.

Za nimi pośpieszyła Anielcia, mocno zaniepokojona tem co się stało, wyrzucając teraz sobie niepotrzebny upór i szczerze czyniąc postanowienie wyrzeczenia się gałganka, jeśli to naruszony spokój i zgodę przywrócić zdoła.

Tymczasem mama wyrozumiawszy rzecz całą, wydała wyrok nie na korzyść Józ. bynajmniej. Terno bowiem pozostało własnością Anielci dla tego, iż na tę własność zapracowała, a Józ. natomiast dostała ostrą naganę i musiała przeprosić siostrzyczkę, dla której okazała się i niesprawiedliwą i niewdzięczną. Przy tej sposobności mama wytłómaczyła obu dziewczynkom znaczenie pracy i znaczenie własności, brat zaś, patrząc surowo na zawstydzoną Józę, wyrzekł do niej te słowa:

— Naucz się więc, że nie to mamy prawo nazwać swoją własnością, co przemocą wydrzemy drugiemu, jako starsi i silniejsi, lecz to, co sobie zapracujemy; oraz zapisz sobie raz na zawsze w pamięci, iż w kole rodzinnem znajdzie się zawsze sąd sprawiedliwy dla winnych i obrona dla uciśnionych, bo rodzina, to dom Boży.

Romania Kamińska.

SZARADA.

Szóste i pierwsze jest ptaków nazwisko
Trzecie rzeka stąd nie blisko,
Piąte, jeśli wspak czytane
Będzie imię wszystkim znane,
Drugie, czwarte są zaimkami,
Całości szukaj między kwiatami.

Łamigłówna w trójkącie:

.
.
.
.
.
.
.
.
.
.

Zapełnić kropki literami, aby rząd pierwszy oraz pierwsze litery utworzyły nazwę zwierzęcia z rodzaju ssących, z rzędu bezzębnych, mieszkającego w Ameryce południowej. Znaczenie wyrazów w dalszych rzędach: 2. Linia równodzienna zakreślona na globie. 3. Zwierzę z gromady kręgowych, z rzędu pletwonogich. 4. Ptak z rzędu grzebiących. 5. Zwierzę z rzędu mięsożernych. 6. Góra na wyspie Kandyi. 7. Wykrzyknik oznaczający niechęć. 8. Spółgłoska.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 51-go.

Łamigłówny sylabowej:

MontewideO—AchałcyK—RoK—OhiO—KałmaR
— KroacyA — OświeciM.

Marokko.

Zadania konikowego:

Ma zły, czarny chleb
Nieraz dobry smak,
Wtedy kiedy nam
Innego już brak

Ewa Marya.

Skrzynka do listów.

Kolejno, drogie siostrzyczki, zapoznajecie się z całą naszą rodziną; w ostatnim numerze Józ. przypominał się waszej pamięci, a teraz wy sami dopytujecie mnie o Jaskółkę, której naturalnie bardzo pochlebia życziwa ciekawość **Horpy**, oraz **Ciszy wieczornej z Pod.** Opisujesz mi **Horpy** rozkład całodziennych twoich zajęć—i mnie także mniej więcej podobnie życie upływa. Rano wstać trzeba, bo rodzina nasza dość liczna, a najstarszej córki obowiązkiem dopomagać matce w pracy, potem gram, czytam, piszę, odczytuję wasze listy, wyjść też trzeba codziennie na przechadzkę, odwiedzin znajomych zabierają trochę czasu i dzień za dniem upływa. **Cisza wieczorna**. nigdy nie byłam w twoich stronach, teraz jednak często zabiegać tam będę myśląc iż przyjazne mam tam dla siebie serduszek. Jaskółka niedawno przeszła do staruszek. Wybacz, ale imienia jej powiedzieć ci nie mogę. Za to chętnie spełnię prośbę **Listka bzu** oraz **Violety** (którą wolałabym nazywać **Fiolką** lub **Viola**) proszącej mnie „choćby o krótką” odezwe”. Siostrzyczko droga, gdyby to odemnie zależało, miwalibyście sążniste listy, ale... Redakcja innego jest zdania! Serdecznie ci dziękuję za wszystkie szczegóły, których mi o sobie udzieliłaś. Gdybym miała odpowiadać na pytanie konkursowe, bez wahania zgodziłabym się na twoje zdanie, które zresztą większość piszących podzieliła. Prośbę twoją przedstawię Redakcyi. Wypracowaniu **Figlarki** nie potrzebuję oddawać tej przysługi, bo w chwili kiedy to piszę, już osądzone. Droga moja, sądząc z tego, co mi piszesz o swoich zajęciach, samolubstwa strzeżesz się jak najcięższego grzechu? I słusznie—tym tylko sposobem powetujesz choć w części ojcu i rodzinie stratę jaką ponieśli, a sama w uczuciu spełnionego obowiązku znajdziesz potrzebną pociechę. Zdaje mi się **Kingo**, że charakter **Kwintusa** właśnie dla tego tak ci się podoba, że nie ma w nim cieniu „najniebezpieczniejszej wady”: *samolubstwa*? O liścikach nie zapominam, ale i ty proszę pamiętaj, że po jednym tylko na raz przysyłać wolno i to *po wydrukowaniu* poprzedniego. Wie o tem **Gospośia Taty**, która może być zupełnie pewną, że wcale się „nie gniewam” za poufale odzywanie się do mnie. Jestem starszą siostrzyczką waszą i całym sercem pragnę być przez was za taką uważaną. Korzystam też ze sposobności oddania ci przysługi i donoszę że najwłaściwszą dla ciebie botaniką byłaby „**Obraz świata roślinnego**, M. J. Zaleskiej. Cena rs. 1 kop. 50. Raz jeszcze dziękuję ci za miły twój liścik i to tak serdecznie, jak mi za zwrócone do niego słowa dziękuje **Kozak Sawa**. Całym sercem życzę mu powodzenia w trudnej przeprawie zdawania wstępnego egzaminu. Dobry to mój przyjaciel, zna mię już, to też nie pyta się jak to czyni **Kalina**: „czy mię przyjmiesz do grona swych przyjaciółek?” Ma się rozumieć, że przyjmę i bez względu na kolor moich skrzydełek odwaję ci się za uścisk równie serdecznym uściskiem, z którego proszę niech każde z was, drogie rodzeństwo moje, swą część odbierze. Całym sercem wam siostra

Goląbka.